

Idea dwóch frontów¹

Józef Mackiewicz

Wileńska tzw. „idea krajowa” nie jest sprecyzowana dość ściśle. Być może, ja ją ujmuję inaczej, niż inni zwolennicy. O genezie jej można by napisać tyle, iż by starczyło na cały pierwszy tom niniejszych wspomnień. Na razie chciałbym powiedzieć o niej tyle tylko, ile się zmieści w jednym rozdziale, we wstępie niejako, traktując przedmiot z grubsza, niby wyjaśnienie. Może niektórym się ono wydać obroną przed stekiem zarzutów, kłamstw, kalumnii, jakimi obrzucano mnie, usiłując jednocześnie poniżyć i obniżyć marzenia polityczne, których jestem wyrazicielem.

„Krajowcem” stałem się dawno przed wojną, z głębokiego przekonania. Mniej z publicystyki, do której *Słowo wileńskie*, w którym pracowałem, mnie nie dopuszczało.

Mój pogląd na politykę jest idealnym. Uważam, że o ile taktyka polityczna kroczyć może każdą drogą do celu, to w polityce winno się być uczciwym. Za uczciwego polityka uważam tylko takiego, który w swej publicznej działalności przyznaje się do popełnionych błędów, koryguje swoje tezy w miarę narastania wiadomości i doświadczenia zaczerpniętego z rzeczywistości. Który, innymi słowy, nie obawia się zmieniać przekonań, doszedłszy do wniosku, że wczorajsze były błędne albo szkodliwe dla zasadniczej idei. Każdy inny, który dopasowuje i naciąga okoliczności do raz wypowiedzianych tez, do sztucznej niezłomności swoich przekonań, albo oszukuje jednocześnie i siebie, i innych, albo tylko innych. Taki polityk, który za nic na świecie nie zmieni swych przekonań, chociażby zdawał sobie sprawę z własnego błędu, wydaje mi się nie zasługiwać na miano uczciwego. Przeważnie jednak tzw. opinia publiczna osądza wręcz odwrotnie i, oczywiście, popełnia błąd zasadniczy.*

Jeżeli chodzi o „ideę krajową” przeze mnie, a może dotychczas raczej tylko we mnie, reprezentowaną (nie miałem możliwości jej rozwinąć ze względów cenzuralno-politycznych), pozostają jej wierny, gdyż przekonany jestem nadal o jej słuszności.² Nie przeszkadza mi to spostrzegać dziesiątki

¹ Друкуецца паводле: [Abramowicz, Ludwik] (1936). „Trzydziestolecie ideologii krajowej”, *Przegląd Wileński*, №5, 14.03.1936.

² Dopisano: i możliwości jej powodzenia.

błądów politycznych, popełnionych przeze mnie na drodze, w zasadzie, jak się wyraziłem – słusznej.

Co to jest „krajowość”? Przede wszystkim nazwa idiotyczna, służąca zazwyczaj do określania mieszkańców krain egzotycznych: „krajowcy”! Ci, którzy tę ideę reprezentowali oficjalnie w Wilnie, jak znany adwokat Wróblewski, lub świetny publicysta Ludwik Abramowicz, chcieli odrodzenia Wielkiego Księstwa Litewskiego jako niezależnego państwa, uzasadniając swe dążenia wspólnotą geopolityczną i historyczną ziem położonych plus-minus pomiędzy Dnieprem i Bałtykiem. Nie przeczę, że zarówno w ich dążeniach, jak moich, znaczną rolę odegrywa sentyment, polityczny romantyzm, płynący po prostu z przywiązania do specyficznych cech terenu. Ale moje osobiste, głębokie przekonanie do tzw. (tylko tak zwanej) „idei krajowej” wypływa z najzimniejszego rozsądku politycznego.

Gdyby mnie ktoś prosił, abym sformułował mój pogląd w „trzech słowach”, ująłbym go tak:

Jest to pomysł utworzenia pomiędzy dwoma wrogimi dla nas blokami, niemieckim i rosyjskim, takich organizacji państwowych, albo takiego organizmu państwowego, który by mógł prowadzić wojnę na dwa fronty. To znaczy: obronić narody zamieszkałe pomiędzy Rosją i Niemcami, nie tylko przed każdym z tych wrogów pojedynczo, ale nawet w wypadku zaatakowania nas („nas” tzn. narody zamieszkałe jak wyżej) *jednocześnie z zachodu i wschodu*. – Oto cała mądrość.

Uważam ją istotnie za mądrość. Historia uczy nas, że koalicja rosyjsko-niemiecka jest dla nas notorycznie zębna. Nie będę przytaczał tu danych historycznych, które są znane zupełnie powszechnie. Sytuacja Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego nie zmieniła się w wieku XX i pozostała taką samą jak w wieku XIV, w głównych zarysach oczywiście.** Dopóki narodami nie dysponowały ich nacjonalizmy, a ich książęta, mógł Witold z Jagiełłą zapoczątkować mocarstwo tak silne, że odpierające zakusy agresywne jednocześnie ze wschodu i zachodu. Z chwilą, gdy organizm Rzeczypospolitej rozdrobnił się z pojęcia „obojga narodów” na pojęcia Polaków, Białorusinów, Ukraińców i Litwinów, zamieszkałych wszystkich pomiędzy Niemcami i Rosją, wspólny, nie zmieniony los tych narodów zmusza nas do utworzenia takiego porozumienia, takiego układu, do takiej decyzji, która by zastąpiła łatwą kiedyś decyzję książąt – trudną dziś decyzją narodów, obarczonych skomplikowaną machiną narodowościowo-wyznaniowo-gospodarczych aspiracji.

W tym ujęciu idea „krajowa” (nie lubię tego słowa), mimo pozorów romantyzmu, jest wyrozumowaną i praktyczną. Można by poszukać dla niej

analogii wśród historycznych sojuszów politycznych, starych czy nowych, albo wprost analogii w strategiach państwowych. Przychodzi mi pomysł porównać ją do planu Schlieffena.

Skąd się bierze sława tego oficera niemieckiego sztabu generalnego sprzed pierwszej wojny światowej, która nadała mu tytuł „genialnego stratega”? Stąd, że słabe, poszatkowane Niemcy dochodzą za Bismarcka do potęgi przez zjednoczenie swych sił. Niemcy, podobnie jak ongiś Rzeczpospolita, znalazły się pomiędzy dwoma blokami kontynentalnymi: Francją i Rosją. Z chwilą, gdy się wzmocniły na tyle, aby wyemancypować od sił wypadkowych, co było głównym ich zadaniem?³ Oto możliwość obrony na dwa fronty jednocześnie. I dlatego wszystkie sztaby generalne niemieckie od okresu Bismarcka po okres Wielkiej Wojny, miały poruczony sobie tylko jeden jedyny⁴ problem: opracowanie planu jednoczesnej wojny przeciwko Francji i Rosji. Alfred hr. Schlieffen, mianowany 7 lutego 1891 roku szefem niemieckiego sztabu generalnego, niezmordowanie, aż do swej śmierci w r. 1913, poświęca całą wiedzę, zdolności i energię opracowaniu planu wojny na dwa fronty. A ponieważ zagadnienie takiej wojny stanowiło o życiu i śmierci Niemiec, przeto najlepszy plan, za jaki uznano właśnie klasyczną receptę Schlieffena, zapewnił mu nieśmiertelność w poczcie wielkich Niemców.

A o cóż nam chodzi? O to, żeby przestać być igraszką niemiecko-rosyjską, żeby wyjść z impasu wiecznego lawirowania pomiędzy tymi dwoma potęgami, żeby nie dochodzić do niepodległości tylko z łaski wojny pomiędzy nimi i nie ginąć na poczekaniu z chwilą ich zgody i wspólnego działania. O nic więcej.

Jakże to zrobić? – Musimy stworzyć wielkie, ogromne państwo polskie – powiadali tzw. „mocarstwowcy”.⁵ Bardzo słusznie. Ale, jak się rzekło, pomiędzy dwoma zaciskającymi nas kleszczami, los wspólny jest zarówno dla Polaków, jak Białorusinów, Ukraińców i Litwinów. Otóż ci nasi współnicy nie godzą się na koncepcję, ażeby to było tylko wielkie państwo – „polskie”. Skoro się nie godzą, a będąc naszymi dziejowymi współnikami, narodowościowo tak się wzmocnili, że nie liczyć się z ich głosem niepodobna – musimy iść z nimi na kompromis i układać wspólnie ten organizm państwowy, aby był mocny, trwały i od wewnątrz nie rozsadzany przez⁶ malkontentów. Przy tym czynić to należy w sposób, aby wzgląd na

³ „zadaniem” skreślono, wpisano: troską

⁴ „jedyny” przekreślono, wpisano: główny

⁵ skreślono: z moim bratem Stanisławem Mackiewiczem na czele

⁶ dopisano: nacjonalistycznych

nieuniknionych malkontentów mieć tylko w wypadku ich żądań słusznych, czyli czynić uczciwie nie inaczej, jak dla absolutnego, dowiedzionego, wspólnego dobra i interesu.

Powiedziałbym, że w całej tej koncepcji, różnice pomiędzy moją krajowością i ideą mocarstwową z okresu Piłsudskiego nie są zbyt duże. Różnica główna polega na tym, że mocarstwowcy za źródło emocjonalne traktowali patriotyzm narodowy polski, ja zaś czerpię z patriotyzmu terenu, wyzbywając się egoizmu narodowościowego dla dobra wszystkich narodowości ten teren zamieszkujących. Nie wyklucza to przewodniczenia np. narodu polskiego, ale też i łamania wszystkich bez wyjątku, kto by egoistyczne aspiracje narodowościowe usiłował forsować ponad terenowe interesy państwa. Natomiast „mocarstwowcy” uważali za możliwe nie liczyć się ze „wspólnikami” w takim stopniu, w jakim ja uważam za konieczne ze względu na ich rzeczywistą potencję. Podejście „mocarstwowców” do zagadnienia białoruskiego czy ukraińskiego, mimo całej powagi udzielanej temu ostatniemu zwłaszcza, było co nieco jakby z werandy dworskiej do podwładnego chłopca, było więc bardziej nie odpowiadające prawdziwemu stanowi rzeczy i bardziej, powiedziałbym, romantyczne od mego, a przez to o wiele mniej realne. Najpoważniejsze studium wyszło z tego obozu w Polsce przed samą wojną, a mianowicie *Problem Polsko-Ukraiński w Ziemi Czerwieńskiej* Aleksandra Bocheńskiego z r. 1938, traktuje wciąż Ukraińców jako mniejszość w granicach Polski i mimo najsumienniejszego przestudiowania, nie daje nam żadnej recepty końcowej. – Inna różnica, dzieląca mnie z obozem „mocarstwowców”, miała już charakter swoisty: oni uważali Piłsudskiego za swego wodza, wyrocznię i człowieka genialnego, ja zaś za politycznego kretyna.⁷

Genezy koncepcji mojej skłonny jestem dopatrywać się w założeniach politycznych W. Ks. Witolda: obydwie państwa utworzyły wówczas związek, który upodobnić można do dwóch ludzi opartych wzajem plecami, a zwróconych twarzami w przeciwległe strony. Wielkie Księstwo Litewskie na wschód, Korona na zachód. W ten sposób każde z tych państw miało zabezpieczone tyły. (Nie mówię tu, oczywiście, o licznych odchyleniach, w zależności od konstelacji politycznej.) Nic oczywiście nie stało na przeszkodzie, aby działać miały, zależnie od okoliczności, w jednym kierunku wspólnie. Wzmacniało to tylko ich pozycję mocarstwową.

Wówczas Litwa była państwem na wskroś ruskim i rywalizowała z

⁷ „kretyna” skreślono, wpisano: szkodnika

Moskwą o *Dominium Russiae*. Dziś⁸ powstał wyodrębniony terenowo, trzeci⁹ czynnik, mianowicie pracy do samodzielności naród ukraiński.

Mój plan uregulowania Europy wschodniej przez utworzenie organizmu państwowego równego siłą Niemcom i Rosji, wyglądałby w schemacie następująco:

Wielkie Księstwo Litewskie (nazwijmy je jak chcemy) obejmuje wszystkie ziemie białoruskie i litewskie w ogólnym kierunku od Dniepru i Prypeci na północny zachód, ze stolicą w Wilnie. Polska – od etnograficznej granicy białorusko-ukraińskiej, na zachód i południe, łącznie z Pomorzem, Śląskiem itd. Na południowym wschodzie Ukraina. Mniej więcej w centrum tego trójpaństwa, gdzieś u początku Prypeci, schodziłyby się trzy granice. Trzy stolice stanowiłyby: Warszawa, Wilno, Kijów. Pomiędzy tymi państwami, czy też członami jednego państwa, o wspólnej polityce zagranicznej i wojskowej, uregulowana by została definitywnie sfera i kierunek ekspansji politycznych, interesów i aspiracji terenowych.

Do sfery interesów członu państwa, które nazwałem tradycyjnie „Wielkim Księstwem Litewskim”, włączona byłaby Łotwa i kierunek północno-wschodni na Psków – Nowogród – Smoleńsk – Briańsk. Prusy Wschodnie objęte wspólną sferą wpływów Wilna i Warszawy.

Do sfery interesów Polski należałyby odrodzone Czechy, Słowacja i Węgry aż po Bałkany. Rumunia wchodziłaby we wspólną sferę wpływów polsko-ukraińskich.

Do sfery interesów Ukrainy należałby Krym, Kozacy Dońscy, Kubań po Kaukaz.

Tego rodzaju organizm państwowy musiałby dążyć do wytworzenia wokół korzystnej dla siebie konstelacji, zabezpieczającej go od oskrzydlenia z północy i południa. Na północy więc utworzenie wielkiego bloku skandynawskiego z hegemonią, powiedzmy, Szwecji nad Finlandią i Estonią w antywschodnim sojuszu z Wilnem, oraz nad Norwegią i Danią w antyzachodnim sojuszu z Warszawą. Na południu blok państw bałkańskich w sojuszu z Warszawą. Na południowym wschodzie hegemonia Ukrainy nad Donem i, możliwe, Kaukazem w sojuszu z Turcją.

To byłby schemat.

* * *

⁸ dopisano: Litwa rozszczępiona została na zamieszkujące ją narodowości: białoruską, polską i litewską, a prócz tego

⁹ skreślono: „trzeci”, wpisano: nowy

Wracając do ścisłego tematu tzw. idei krajowej, czyli, w mojej koncepcji, odrodzenia państwa na terenach b. W. Ks. Litewskiego, w oparciu o Polskę i Ukrainę, wydaje mi się ona nie tylko korzystną dla wszystkich trzech zainteresowanych narodowości: Białorusinów, Polaków i Litwinów, ale po prostu jedyną, która im gwarantować może byt niezależny na tych terenach. W sytuacji do r. 1939 Polska miała tylko skrawek tych ziem, napęczniały zgryźliwym niezadowoleniem mieszkańców, atakowany ze strony Litwy, wciąż wystawiony na agresję sowiecką. Ten Korytarz wileński nie był do utrzymania przez czas dłuższy przy takiej Polsce. Co zaś dotyczy Litwy i Białorusi, to bez oparcia o Polskę, byłyby notorycznie wystawione na niebezpieczeństwo pomiędzy Niemcami i każdą Rosją. Gdyby nawet Białoruś uzyskać kiedyś miała niezależność z rąk Niemiec czy Rosji, bez oparcia o Polskę, to ta niezależność pozostałaby zawsze nominalna, bez dostępu do morza, albo pod postacią protektoratu niemieckiego, albo folwarku rosyjskiego, że już pominę strukturę sowiecką. Nad sytuacją niezależnej Litwy nie warto się nawet rozwodzić po doświadczeniach jej izolacyjnej wobec Polski polityki i niesławnego finału lawirowania pomiędzy Moskwą i Berlinem.

To idealizowane przeze mnie współczesne Wielkie Księstwo Litewskie miałyby charakter państwa trójjęzycznego, trójnarodowego: Białorusini, Litwini, Polacy. Abstrahując od korzyści zasadniczej, zewnętrznej, wypływającej z mocarstwowego zabezpieczenia się przed utratą niepodległości i wyemancypowania spod władzy Moskwy i Berlina – wszystkie te trzy narodowości zyskują, przez połączenie, nie tylko siłę, ale i wewnętrzne zadośćuczynienie własnym ideałom. Następnie poważne korzyści ekonomiczne. Litwini, otrzymując dostęp do Wilna-stolicy i całej historycznej Litwy, nie tracą nic ze swego narodowościowo-kulturalnego dorobku, pozostając równorzędnym elementem w państwie, siedzą na jego dostęпах do morza. Białorusini stanowią element przeważający, nie potrzebują się zatem obawiać wynarodowienia, zwłaszcza groźnego im na rzecz Rosji, uzyskują dostęp do morza i warunki normalnego rozwoju. Polacy wileńscy, zachowując swój język ojczysty i kulturę, tudzież swą tradycyjną odrębność od Korony, dochodzą wreszcie do głosu we własnej, ścisłej ojczyźnie (Heimatland), nie tracą, a nabierają powagi, jako element stanowiący zbitą masę w samym centrum i stolicy. Poza tym stanowią nie kość niezgody, ale pomost łączący Wilno z Warszawą.

Jest to tylko krótki szkic. Jeżeliby jednak miał się komuś wydać naiwnym ze względu na różnice aspiracji i animozje dzielące Litwinów, Polaków i

Białorusinów – to odpowiem, że, moim zdaniem, nie tylko naiwnym, ale przestępczym wydaje mi się przekładanie drobnych ambicji językowych, hegemonistycznych aspiracji poszczególnych nacjonalizmów, ponad dobro niezależności państwowej, zrzucenie jarzma niewoli, wyemancypowanie spod wiekowej zależności politycznej Berlina bądź Moskwy. – Taką właśnie przestępczą politykę uprawiał nacjonalizm litewski, rzucający się raz w objęcia moskiewskiego komunizmu, drugi – niemieckiego hitleryzmu, a gnębiący bezlitośnie współników własnej niedoli.

Gdyby natomiast ktoś chciał się dopatrywać idealizowanej przeze mnie koncepcji przestarzałych, albo „przebrzmiałych” form, kantonalnych wzorów szwajcarskich, projektów Hymansa itp., to bym im wskazał na wzór nowszy, a przez nas gruntownie poznany dopiero teraz – wzór, moim zdaniem, idealnie rozstrzygnięty przez Związek Sowiecki – jego politykę narodowościową. Mam wielką ochotę nazwać ten wzór nawet genialnym, jedynym godnym naśladowania spośród wszystkich ponurych eksperymentów komunizmu. Okazuje się bowiem, że wzajemna nienawiść narodowa nie siedzi tak głęboko w człowieku, ani odrębność językowa nie stanowi tak ważnej części jego aspiracji, gdy się ją sprawiedliwie zaspokoi przez równouprawnienie, autorytet z góry, propagandę. Wszyscy mogą być zadowoleni i mam wrażenie, iż łącznie z bogatym, silnym i niezależnym państwem, byłiby zadowoleni w istocie, gdyby językowe równouprawnienie przewidywało pierwszeństwo litewskiej mowy w Kownie, polskiej w Wilnie, białoruskiej w Mińsku.

Strukturę gospodarczą państwa oparłbym na litewskich wzorach reformy rolnej, która dała świetne wyniki, podobnie zresztą jak w Estonii i Łotwie; jednym słowem: „hutornoje haziajstwo”, projektowane ongiś w BSSR w okresie śp. „nacdemszczyzny”.

Traktując swą koncepcję szczerze i uczciwie, jako maksymalnie korzystną z możliwych, zarówno dla narodu polskiego, jak litewskiego czy białoruskiego, nie mogę uznać zarzutu zdrady interesów polskich popełnianych jako Polak, tak samo jak bym nie uznał za zdradę interesów litewskich czy białoruskich, gdybym był w tej koncepcji Litwinem czy Białorusinem.

* * *

Powtarzam raz jeszcze, że temat powyższy nie traktuję nawet w przybliżeniu jako całokształt, nie traktuję tego tematu ani monograficznie, ani dyskusyjnie, nie odpierając z góry przewidzianych, a

dobrze mi znanych zarzutów, kontrargumentów poważnych i potocznych, z których najbardziej popularnym wydawał mi się zawsze ten, mówiący o utopii, o przeżytkach, o niepopularności przede wszystkim idei, o której słyszeć nie chcą ani Polacy, ani Litwini, ani Białorusini.

Ten ostatni argument datuje się z dobrych liberalistycznych czasów, gdy w walce, powiedzmy, pomiędzy republiką a monarchią, konserwatyzmem i demokracją, wzywano vox populi na świadka. Liberalizm jest niewątpliwie formą najprzyjemniejszą, nie powinien nam jednak utrudniać nauki, którą czerpiemy dziś z form totalnych. Hitler pokazał nam, jak można chcieć uporządkowania nie tylko jednego państwa, ale całej Europy (Das Neue Europa), nie pytając o zgodę ani popularność nie trzech, a dwudziestu trzech narodów! Ale bardziej jeszcze Związek Sowiecki nauczył nas, w jak małym stopniu popularność jakiejś idei, albo głos opinii publicznej, może wpływać na bieg wypadków historycznych. Jeżeli 68 milionów obywateli sowieckich mogło wytrwać i musiało wytrwać w ciągu dwudziestu kilku lat w warunkach urągających pojęciom zdrowego sensu, ba! potrafiło tak walczyć z Niemcami, jak walczyło w obronie sprawy złej – nie uważam za stosowne liczyć się z opinią kilku milionów, dla których chciałbym stworzyć sprawę – dobrą.

Jest to też powód, dla którego nie omawiam kwestii ustrojowej idealizowanego przeze mnie organizmu państwowego, względnie państwowych. Totalizm konsekwentny przeraża mnie swą jednostajną nudą. Komunizm usuwam poza dyskusję. Poza tym byłoby dla sprawy obojętne, czy byśmy mieli do czynienia ze związkiem najbardziej radykalnych republik, czy z... jednym tylko monarchą.

Taka jest moja koncepcja, mój pomysł polityczny. Przytaczam go na początku książki, która wcale nie ma za zadanie rozwinięcia tego tematu. Stanowi tylko credo moich ideałów, o urzeczywistnienie których, zdawało mi się, że mam prawo się borykać na tym skrawku Europy Wschodniej, któremu od wieków królowało Wilno.¹⁰

Tło powszechnie jest znane: toczy się mianowicie druga Wojna Światowa. Niektóre osoby działające wymienię poniżej, przy tym pozwalam sobie ilustrować ich działanie i raz wypowiedziane słowa, nie autoryzując je do druku. Ryzykuję w ten sposób narazić się na wiele protestów, zaprzeczeń, oburzeń, a może w przyszłości procesów. Namyślałem się... Niech już tak zostanie. Albo się pisze prawdę, albo nie!

¹⁰ dopisano: Dopisek o pozyskaniu zwolenników. (Patrz uwagi Świdy [?])

Przypisy

* Dobra albo zła polityka zależy jednak nie tylko od stopnia jej słuszności, ale też często od możliwości jej powodzenia. W momencie decydującym każdy polityk znaleźć się może na krawędzi tryumfu i potępienia. Tak się rzecz miała ze wszystkimi rewolucjami i zamachami stanu. – Gdy 3 lipca 1866 roku pod Königgrätz zwycięstwo ostatecznie przechyliło się na stronę wojsk pruskich, do stojącego na wzgórzu Bismarcka podjechał jego adiutant von Steinäcker i powiedział z uśmiechem: „Ekscelencjo, teraz jest pan wielkim człowiekiem. Gdyby jednak Kronprinz przyszedł za późno, byłby pan największym zbrodniarzem”.

Z drugiej zaś strony, czy możemy twierdzić, że dzisiejszą wielkość Mahatmy Gandhiego obniża fakt, że nieomal pół życia swego strawił na wysiłkach ugodowej względem Anglii polityki, politycznych i taktycznych kompromisach?

Poza tym jest zwolennikiem maksymalnego idealizmu w polityce, czyli zredukowania do możliwego minimum nieuczciwości międzynarodowej. Nie podzielam zdania dr Goebbelsa z r. 1943, w którym wykrzykiwał: „Fanatyzm to nie wada. Fanatyzm to cnota”. – Nie, raczej przypada mi do gustu zdanie Gladstone’a z r. 1879, który, odbywając kampanię wyborczą przeciwko Disraeliemu, wołał: „Są w świecie inne rzeczy, niż konieczności polityczne; są konieczności moralne. Pamiętajcie o tym, że świętość życia w siołach Afganistanu, w śniegach zimy, jest równie nietykalna w oczach Stwórcy, jak życie w naszych miastach”.

** Już w wieku XVI Iwan III, usiłując wykorzystać zaniepokojenie cesarza Maksymiliana penetracją Jagiellońską na Węgrzech, proponował „Rzymskiemu Imperium Narodu Niemieckiego” sojusz, a następnie rozbiór Rzeczypospolitej.